№ 9.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1847. Poznań, dnia 3. Maja.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

W dawniéjszych czasach zdarzały się ciągle głody, a w nowszych całkiém ustały. Czasy nasze są dumne ze swojéj oświaty, dla tego byliśmy przekonani, że to winni jesteśmy rozumowi naszego pokolenia, iż się możemy nie obawiać strasznéj niegdyś klęski. Tymczasem zaczął się psuć jeden artykuł żywności, ale taki, który służył za podstawę drugim, którego taniość, taniém robiła życie, tanią nawet i pracę ludzką, a zbliża się zaraz dawna klęska, inną postać przybierają stosunki, i trudno przewidzieć kukąd się nakręciły i dokąd zajdą rzeczy. Niedostatek żywności jest sam przez się wielkiém nieszczęściem, a ta ruchliwość z niego wynikająca mnoży cierpienia, powiększa liczbę ubogich. Złe codzień staje się groźniejszém. Wielkie środki mogą się przyczynić do zapobieżenia klęsce, ale jest niesłychana liczba małych środków, które wszystkie razem wzięte, możeby większą wywarły siłę niż pojedyńcze olbrzymie. Już to naprzód chwytajmy się oszczędności, a za to dzielmy się więcéj jak zwykle z drugimi: pamiętajmy, że jedna butelka wina szampańskiego wypita, jest to znaczna ujma społeczeństwu, bo jéj wartością przez tydzień może wyżyć jedna familia. Pamiętajmy, że dawać dziś mnóstwo potraw na obiad, jest to urągać się z tych, którzy szukają pożywienia. Kto ma swą ziemię, niechaj wymyśla roboty choćby i mniéj korzystne, a niech zatrudnia lud ubogi. Dwa wielkie przez to będą osiągnięte cele, dwie od razu zjedna się zasługi, bo naprzód stworzy się sposób do wyżycia drugim, a potém moralnym z nich zagrodzi się drogę od zepsucia i przejmowania złemi zasadami. Powiedziano, że lenistwo jest podstawą wszystkiego złego, ale możnaby powiedzieć, że próżnowanie, czyli brak zajęcia. Czy więc kto potłuka się z umysłu bez zatrudnienia i pracy, czy téż tylko przypadkowo, snadno w nim odzywają się niegodziwe skłonności, które dawniéj milczały. Wystawmy sobie człowieka, co nie ma żadnego wykształcenia, złego jest serca, ze społeczeństwa czerpał tylko złe narowy, odzywa się w nim jedynie zazdrość lepszego położenia, które widzi u drugich; niech ten człowiek, zmuszony do chodzenia bez zatrudnienia, ma sposobność do rozmyślania nad swojém położeniem, do naradzania się z podobnemi sobie indywiduami nad poprawą swego losu. Stąd powtarzamy, że kto tylko może, niech myśli nad tém, jakby ludzi biednych i nędznych dzisiaj zatrudniać. Kto komu podaje zatrudnienie, ten mu tém samém podaje i wyżywienie, z tą nawet różnicą, że nie samo jego ciało, ale nawet ducha zasila. Zasila zaś nie przez to iżby go kształcił, do wyższych pojęć wznosił, uszlachetniał, ale przez to, iż go odsuwa od zepsucia.

Nietylko to czasowy niedostatek, ale w ogóle bieda zawsze ludzi kieruje na przestępców. Człowiek, który ma wszelkie wygody życia, rzadko się puszcza na kradzieże. Od drobnych kradzieży przechodzi się do większych, do nocnych wypraw, które się zamieniają na napady po domach i lasach, a w okazyi na rozboje. Z ludzi dobrego mienia rzadkie wyrodki tylko puszczają się na życie przepełnione łupieżnemi przestępstwami, lecz ubogich ludzi, sko-

ro tylko nieco lżéjsze mają usposobienia moralne, snadno okoliczności zaprowadzają w bezdenną przepaść zbrodni.

Pieniactwo.

Powieść przez *B. Bor.........*

Ciąg dalszy.

Wieś G. wystawiona na ciągłe odwiedziny, to woźnych, to komorników, to delegowanych taksatorów, ujrzała teraz nowy widok; mężczyzna dobrego wzrostu, siadły, z czarnym sutym wąsem, czarnych włosów, takichże oczu, w surducie szaraczkowym, od niedawnego czasu zamieszkał tu w karczmie, co nad samą stoi drogą i imponującą pokazuje minę, gniewliwém okiem spogląda na dwór, jakby mu tenże co zawinił, a z miastem W. ciągłe utrzymuje korrespondencye, to konni posłańcy, to piesi, przynoszą i odnoszą rozporządzenia i doniesienia. — W skutek planu przez rejenta J. podanego, komornik wydawszy przód nakaz o zapłacenie procentów, potém gdy takowe nie zostały zapłaconemi, zjechał na grunt wsi G., zajął takową na trzyletnie wydzierzawienie, termin do odbycia licytacyi przed panem J. jako właściwym do tego powiatu rejentem oznaczył, i ustanowił dozorcą pana Barburskiego z miasta W., którego pan M., uważając jako mającego szczególną zdatność, do tych obowiązków przedstawił, i był to ten sam pod czarnym wąsem, z Kazimierzem M. w różnych zdarzeniach korrespondujący mężczyzna, któremu to w owéj karczmie dano mieszkanie.

— Trzeba było mu już dać tę krowę — mówił ktoś do pani Ł, trzymającéj w ręku doręczoną sobie kopię zajęcia wsi G. na wydzierzawienie i myślącéj nad odbiciem nowego zamachu — teraz oto będzie więcéj kosztowało, przeszedł na stronę doktora i znowu jemu przeciw pani wszystko doradza.

— Nie myślałam — odpowiedziała — aby przyjaźń za krowę można nabyć, albo stracić. — Dopóki nie mogłam się wymówić i dawałam mu bez żadnego wyrachowania korzyści, różne produkta, dotąd był moim przyjacielem. Sam mi nawet doradzał, abym w dzierzawę z wolnéj ręki wieś G. wzięła i napisał kontrakt, za który mu nad taksę daleko więcéj zapłaciłam, ale żebym krowę dla niego najlepszą z obory kazała wyprowadzić, to już niepodobna. — Przeprosiłam go listownie, i posłańca co mi ten kontrakt przyniósł, z próżnym powrozem odprawiłam. — Kazimierz M. jest bogaty, więc wszystkich przyjacioł hurtem zakupił — nabywają oni się drogą licytacyi — kto da więcéj, ten ich pozyska, ale taka przyjaźń nikczemniejsza od gadu, nie dałabym za nią i szeląga, nietylko krowy — moja sprawa jest słuszną, i ufam w sprawiedliwość.

Do mieszkania pana Władysława, opatrzonego początkowo skromnemi a koniecznie potrzebnemi sprzętami, naprzykład stołkiem, stolikiem, łóżkiem, szafką do papierów, przybywają teraz ozdobniéjsze: szezląg zajął sobie właściwe miejsce, stół nowy, krzesła na sprężynach, obrazy, lustra i inne ozdoby domu, zawieszone firanki, ściany odmalowane, posadzka froterowana — co wszystko zdawało się być urządzoném na przyjęcie jakiegoś osobliwego i miłego gościa. — W drugim pokoju jest założona kancelarya: widać tu wielkie czarne półki, przeznaczone do akt stron się procesujących, w których już kilkanaście zajęło miejsce — starsze nabrały trochę grubości, nowe zaś jeszcze cienkie, a inne dopiero z okładki i pozwu złożone — obok stoi takiegoż koloru stół, przy którym siedzi przychylony w szaraczkowym surducie, z porastającym czarnym włosem brodą, długi a cienki żyd, i szybko po papierze ręką śmiga.

— Już skończyłem — mówił tenże, który umiejąc po polsku pisać, bywał najmowany na arkusze, i przeliczywszy stronnice napisanéj kopii wyroku, oczekiwał na zapłatę, ale już słońce miało zachodzić i sabat się niedługo zacząć, a pana Władysława widać nie było. — Żyd wyglądał oknem, kręcił się i niecierpliwił, chciał bowiem na sabat przynieść do domu cokolwiek pieniędzy. — Ny — mówił daléj — ten pan Władysław to pewnie zapomniał że ja tu na niego czekam.

— Miałby tam mój Hasklu o tobie pamiętać — odpowiedział służący — alboś to ty jego kochanka? — i w tém poprawił mu żartem krymki na głowie — przecie widzisz po urządzeniu domu, że się niedługo ożeni — ogniście kocha pannę Konstancyą i u niéj tak długo bawi, a tybyś chciał, żeby o tobie pamiętał.

— Ny, co mnie do tego, ja teraz żebym miał dziesięć rąk, to miałbym co pisać, i zaraz mi zapłacą. — Proces naszego doktora z panią Ł. prawie wszystkich pisarzy zatrudnia ręce i rejent już mnie na posabacie do pisania zamówił. — Haskel czekał jeszcze chwilę, lecz mająca uderzyć godzina

sabatowa, kazała mu się do domu bez otrzymania zapłaty pospieszyć.

Już o kilkanaście dni czas się posunął naprzód, nowy plan pana J. zdawał się być bliskim skutku, zajaśniała nadzieja na twarzach państwa Kazimierzostwa na pierwszém piętrze, i stary Krystyan na dole niecierpliwie rachował dni, a nawet godziny do terminu, w którym zięć jego, choćby mu najwięcéj dać przyszło, miał zostać wsi dziedzicem. Już tylko dwadzieścia dni było do tego stanowczego dnia, aptekarz znajdował się wtenczas w pokoju i sam do siebie rozmawiał: — przecie już aby raz niedługo koniec będzie. — W tém drzwi się uchyliły i wszedł pan Kazimierz z miną zasmuconą, trzymając w ręku jakieś pismo w całkowitym arkuszu, zbliżył się do teścia i — znów zapozew — mówił — nowa zwłoka — stary spojrzał na papier i spuścił na kwintę.

Prawo dozwala każdemu wierzycielowi żądać zmiany warunków wydzierzawienia, które się na trzydzieści dni przed terminem u rejenta składają do przejrzenia, jeżeli się w czém niepodobają. — Pani Ł. jako wierzycielka znalazła w tém środek do zwleczenia wydzierzawienia — zrobiła więc spór o zmianę warunków, pod któremi wieś G. miała być wypuszczoną — i właśnie to pismo było pozwem przed trybunał extrahentowi w téj mierze doręczonym. — Lecz interesem jéj było sprawy niewprowadzać. — Kazimierz jako strona pilniejsza działając, musiał ją popierać — wprowadził ją więc przed kratkę. — Pani Ł. puściła zaocznie, a po doręczeniu jéj wyroku, dopiero ósmego dnia założyła protestacyą, która już dla krótkości czasu przed licytacyą rozstrzygniętą być nie mogła, azatém pierwszy termin na niczém spełzł. Te prawne obroty nakształt gry w szachy, martwiły niezmiernie pana Kazimierza, nie mógł sypiać po nocy i był bardzo niespokojnym. Pan J. niemniéj się tém zaambarasował, że mu się ten pierwszy krok nie powiódł — natychmiast wyznaczył inny termin, tak odlegle, iżby sprawa o warunki ostatecznie załatwioną być mogła — wysłał zaraz obwieszczenia do pism publicznych, sprawę z jak największą sprężystością rozstrzygnięto i już nic nie było naprzeszkodzie do odbycia licytacyi pod warunkami, jakie sąd za stósowne uznał. Nowa nadzieja wstąpiła w doktora i jego interesownych przyjaciół.

Codzień było bliżéj do Śgo Jana i w państwu Kazimierzostwu coraz bardziéj wzmagała się żądza posiadania wsi i używania jéj powietrza. Niebo było pogodne, słońce ładnie złotym promieniem świeciło i łagodny powiewał wietrzyk, pola wsi G. pokrywały powschodzone zboża, łączki się zieleniły trawą i żółciły kwiatem, skowronek nucąc szczebiotliwą piosnkę, wzbijał się w górę, jakby chciał bujać w obłokach, pługi przewracały ugór, słychać było przeciągłe ratai na bydło wołania, wesołe śpiewy i gwizdy. Prawdziwie, dzień ten był bardzo przyjemny i wzbudzał ku sobie jakieś zamiłowanie. Tu przed karczmę zaszedł powóz, w którym siedziało jakieś państwo i dwoje dzieci ze służącą, a w tyle lokaj. — Na przyjęcie wybiegł co prędzéj mężczyzna z czarnym wąsem, ładnie się ukłonił i pomógł wysieść przybyłym gościom; pan Kazimierz przedstawił żonie ustanowionego dozórcę i zachwalił jego dobre przymioty, jego dla nich życzliwość i sprężyste działanie. — Pani też Kazimierzowa ładnie mu podziękowała i dla znaku wdzięczności uścisnęła jego rękę, na któréj pan Barburski wytłoczył niemniéj mocne pocałowanie. Przechodzący chłopi zdejmowali czapki, a kobiety niskim ukłonem witały swoje przyszłe państwo.

— Każ im pan dać wódki na mój rachunek — mówił pan Kazimierz do dozórcy — niech pamiętają nowego dziedzica — i udał się spacerem z żoną i dziećmi drogą przez wieś prowadzącą i przypatrywał się wszelkim przyjemnościom wiejskiéj okolicy — wszak ładna wieś moja żono — mówił zachwycony jéj widokiem.

— O prawda, że bardzo piękna — odpowiedziała młoda żona — jak mnie to wszystko zajmuje, i do tego sprzyja nam osobliwie dzisiejsze powietrze — jutro mój mężu po odbytéj licytacyi znowu przyjedźmy, ale objedziemy sobie już pola i ogrody, gdyż będziemy mieli do tego zupełne prawo.

Potém przyszedł pan Barburski, towarzyszył im w pochodzie i z natury marsowaty wzrok obok tak dostojnych gości rozpogadzał, a wieśniacy pili gorzałkę i uwielbiali hojność nowego pana. — Jutro będę posiadaczem tutejszéj wsi — mówił doktór do przybyłego towarzysza — jutro termin, licytacya się już z pewnością odbędzie, bo już nie ma nic na przeszkodzie. — Następnie używszy tak miłego spaceru, pożegnali się i odjechali do domu, zachwyceni oboje tém wszystkiém, co tam miłego widzieli.

Na drugi dzień było powszechne zadowolenie, bo Kazimierza M., z powodu rozstrzygnięcia zaszłego sporu, miano już prawie za rzeczywistego dzierżawcę i dziedzica wsi G. i naprzód mu zwycięztwa winszowano. Gdy dziesiąta godzina wybiła, w miejsce zwykle odbywających się wydzierzawień, stawili się aptekarz i doktor, oraz z kilkoma ze swéj stro-

ny dla ważności postępowania przybranemi licytantami; niemniéj zgromadziło się wiele ciekawych wypadku osób, gdzie rejent stósownie do prawa odczytał w ich obecności warunki dzierzawne, a następnie po upływie pewnego czasu przystąpiono do pisania protokułu — zaczęto cytować daty i numera pism publicznych, że termin wedle przepisów był ogłoszonym — już zapisano dziennik i gazetę warszawską i chciano toż samo uczynić z gazetą rządową, lecz przejrzawszy wszystkie numera rzeczonéj gazety, przekonali się niestety, że obwieszczenie w tém piśmie zamieszczoném nie było. — Zdaje się, że skutkiem pospiechu w wysyłaniu przez rejenta obwieszczeń, mylnie był położony adres, przeto expedycya nie doszła do właściwego miejsca, i dla tego ogłoszenie w tém jednéem publiczném piśmie nie nastąpiło, co pod nieważnością działania winno być dopełnione, a tak i termin dziś z oczywistéj winy rejenta upaść musiał, co nie mało kosztowało ambicyi zarozumiałego urzędnika, a jeszcze więcéj pewnie martwiło go to, iż wydzierzawienie trzeba było odroczyć. Tak teraz smutek przywalił serca wszystkich przed chwilą cieszących się w kancelaryi rejenta interesentów, mianowicie doktora i jego teścia, że zdawał pozbawiać ich ciał żywotnego czucia — zdrętwieli i stanęli jak nieruchome z zimnego kruszcu twarzami posągi — tak niespodziewanym i zastraszającym wypadkiem zatrwożeni, nie wiedzieli, czy to co słyszą jest tylko marzeniem, czy téż rzeczywistością.

To zdarzenie tém bardziéj ambarasowało, że już czas prawem do wydzierzawień upływał, który gdyby ubiegł, jużby w tym roku wypuszczenie wsi G. nie mogło nastąpić, a tym sposobem pani Ł. z mocy kontraktu weszłaby w posiadanie dzierzawne znowu na dalsze trzy lata. — Napisał więc rejent nowe obwieszczenia i oznaczył inny termin, a pan Kazimierz sam podejrzany, wszystko mając w podejrzeniu, dla lepszéj pewności wysłał z niemi do Warszawy umyślnego posłańca, pewnego swego powiernika, niejakiego żyda Miętusa, gdyż się obawiał poczcie tak ważnego powierzyć interesu. Zamieszczono więc we wszystkich dziennikach obwieszczenie, tak, iż już pod tym względem żadna nie mogła zajść nieważność.

Lecz trzeba wiedzieć, że kiedy się ta wojna pieniactwa o samo wydzierzawienie zajęła i z różném obu stron szczęściem przeciągała, w tymże czasie za natchnieniem pani Ł. zaszedł drugi spór od dziedzica, który ona prowadziła, o zniesienie zupełnie zajęcia na wydzierzawienie, ponieważ dobra G. już były z wolnéj ręki wypuszczone — przytoczono w pozwie zasady najsłuszniejsze: że procenta wcale się nie należą i nie są wymagalnemi, a przyszłe kontraktem są przekazane do zapłacenia, że więc z tego powodu zajęcie jest bezzasadne, nadto że w kontrakcie na większy czynsz dzierzawny się zgodzono, jak można było dostąpić w drodze publicznych wydzierzawień, azatém, że z większą korzyścią i pewnością wierzycieli nastąpiło wypuszczenie z ręki dziedzica, jak od losu wypaśćby miało przez licytacyą, na któréj często dla zbiegu okoliczności, za zbyt niską cenę może się trafić przybicie. Wytoczenie tego procesu tamowało wydzierzawienie, i tę przeszkodę trzeba było koniecznie przed terminem uchylić. Pan Kazimierz znowu więc jako strona pilniejsza wprowadził sprawę, i mając po sobie przyjaciół, wygrał solennie sprawę — odrzucono więc akcyą o utrzymanie kontraktu, azatém interes doktora zreparowany, znowu na dobréj stał drodze — i termin przez publiczne obwieszczenia oznaczony, miał już tym razem przyjść do skutku, ale, że wedle postanowienia z dnia 2. Września 1823. r. nie upłynęło jeszcze ósmiu dni do zaniesienia nowego sporu, przeto z wielką niepewnością oczekiwano upływu całych tych dni ósmiu. — Rejent więc, a nadewszystko lekarz i jego teść byli w nadzwyczajnéj obawie, a ósmego dnia przypadał i przesilał się paroxyzm największéj niepewności, boją się własnego cienia, drżą na każde obce stąpnienie i bledną na każde wspomnienie, iżby nie poznali z niego, że jeszcze dziś zajdzie apelacya, ale kiedy po południu nie widać było żadnego od wyroku trybunału odwołania, ustalało się więc szczęście pana Kazimierza, i już miało słońce zachodzić, już w bojaźliwe dusze wstępowała odwaga i pewność, a w tém doręczono przez woźnego B. pozew apellacyjny i wypis sprawy. Runęła więc nadzieja i w proch się rozsuła. — Pan Kazimierz poznał teraz niepodobieństwo wnijścia do wsi i mocno się tém zmartwił. Krew gwałtownie na twarz wystąpiła, oczy dziwném świeciły obłąkaniem — tyle wydatku, tyle trudów i poniżeń znieść musiał i wszystko naprożno. — Pan J. niemniéj cierpiał, bo jego nadzieja z upadającym planem zdawała się upadać.

Chciwość przyrzeczonéj nagrody, bezczelność i niesumienność przemogły, iż pan J. rejent, teraz wbrew prawu, pomimo doręczonego sobie pozwu i wypisu licytacyą odbył i Kazimierz za mniejszą daleko cenę dzierzawną jak z wolnéj ręki utrzymał się, azatém z pokrzywdzeniem wierzycieli i dziedzica. Urzędnik

dla własnych widoków poświęcił szczęście trzeciéj osoby. Przez ten czyn nieprawny stanęli na punkcie, przez który do wsi G. była najkrótsza linia i przez który w tém położeniu rzeczy iść trzeba było — osięgli co zamierzyli, lecz nie podzielali ztąd prawdziwéj radości, bo nieczystość sumnienia pokoju duszy przynieść nie może, ale raczéj truje wnętrzności i w chorobliwy stan człowieka wprowadza.

Pani Ł. przejęła się zgrozą słysząc o tym wypadku, bolesno jéj było, iż przed podłym zyskiem wszystko klęka, ale nie czuła téj zgryzoty co jéj przeciwnicy, bo jedna łza żalu przyniosła ulgę cierpiącéj duszy i wewnętrznego pokoju nie kłóciły zbrodnie — oko wesołe, twarz wypogodzona, nie zsiniałe usta, czerstwość zdrowia, niosły o tém świadectwo — była pewną, że ta czynność rejenta bezkarnie ujść nie powinna, i że dzieło wydzierzawienia jako nieprawne unieważnioném zostanie.

Pan Kazimierz nie przeczuwając już żadnéj obawy, jako niewątpliwy dzierzawca robił przysposobienia do podróży. Lecz i pani Ł. nie w ciemie bita, na zasadzie kontraktu dzierzawnego z dziedzicem, przez komornika sądowego z miasta Kalisza pana K. na trzyletnie posiadanie wsi G. wprowadzoną została.

(Ciąg dalszy natąpi.)

Poezye Ludwika de Perthées.

(Dokończenie.)

W *ustępie o miłości* (VII.) skreślony prawdziwie acz smutnie stan biednego młodzieńca pod wpływem tego uczucia. Jak wiele w nim prawdy i tęsknoty!

Znałem młodzieńca — on kochał dziewczynę —
Pewnie myślicie że wnet tu rozwinę
Na tle bladawém moralnéj powieści
Sieć intryg — zdarzeń — romantycznéj treści?
Z ścisłym opisem ich wdzięków, ich lica,
Ich czułych rozmów przy świetle księżyca?
Ale daremne te oczekiwania. . . . .
To była miłość bez wszelkich prawideł,
(Jak i ta powieść), nawet bez wyznania,
Nawet bez miłych nadziei mamideł.
Co, niewierzycie? — Tak było — Przyczyna?
On był ubogi — uboga dziewczyna.
On, jak dziś młodych wielu, bardzo wielu,
Szedł drogą życia — omackiem — bez celu —
Bo gdzież tu cele? Środkiem życia praca,
Lecz i ta praca, nie zawsze popłaca.
Nadto miał dumy i sumienia głosu
By innych z drogi popychał nikczemnie,
Albo się podlił — dla zrobienia losu:
I nadto cnoty, ażeby daremnie
W niepewną swojéj przyszłości zawiłość
Plątał istotę kochaną. . . .
A miłość
W dzisiejszym wieku wymaga podniety —
Jakiéjś pewności. Dziś odrzuć nadzieję,
A nieraz męski duch pada — słabieje —
Cóż serce słabéj kobiety?! . . ,
I tak się wszystko skończyło. Ubogo
W treści. Z nich każde poszło swoją drogą,
On — jeden; ona — potrzeba zwycięża,
Dobrze to mieć kochanka, ale . . . . lepiéj męża.
. . . .
I tak dziś kończy wielu, bardzo wielu,
Co w drodze życia nie znalezli celu. . . . .

*
* *

Cóż to za miłość, spytacie, co znaczy?
Zimna, bez uczuć — uniesień — rozpaczy —
A znacie prochu oziębłość zwodzącą?
Znacie rdzę serca tajemnie gryzącą? . . .

Daléj skreślając możliwość małżeństwa bogacza i kmiotka, stawia dla tém większego kontrastu los biednego młodzieńca i pięknie maluje ten obraz. — Kończy zaś:

A jednak młodość — kwiat życia jedyny —
Gdy raz przekwitnie — już nigdy nie wskrześnie!
Nigdy nie będzie już pierwszéj dziewczyny —
Pierwszéj miłości — zgubionéj jak we śnie!

De Perthées bywa też często silny i wysoce filozoficzny w swych utworach. Jego kilka wierszy są często treścią obszernego systematu, lub jądrem wzniosłéj nauki, np. w urywku jego p. t. *Wiara:*

Wy tylko mędrkujecie — wy nie znacie cudów?
Cudem jest sama wiara, bo dźwiga z niemocy
Jak ludzi pojedyńczych, tak i massy ludów!
Cudem wiary — nadzieja, miłość, bo ich mocy
Żadna ziemska potęga przytłumić nie zdoła,
Bo one wznoszą człeka do szczytu Anioła!
Lecz różność wiary choćby nawet była niczém
Choćby była jednością przed stwórcy obliczem,
To na ziemi nie zawsze może być jednością.

Jest to prawda tak ślicznie i wysoce powiedziana, iż radzilibyśmy wszystkim naszym nowowodzicielom systematów zastanowić się nad skutkami ich dążności. — Nie potępiam bezwzględnie ich popędu, jak to dziś czynią wielu, i może nawet błędnie, ale zgadzam się na tę myśl de Perthées'a:

Dziś lada mędrek — zwolennik obcości,
Niepomny naszych czasów i okoliczności,
Rozumuje głęboko i bez wszelkich względów
O czystym Chrześcianizmie, bez wyznań, obrzędów
I obcą nam roślinę w czasy niewłaściwe
Chce wplenić z innéj strefy — zimą, w naszą niwę...
Niebaczni! czyliż dla was jest tak wielkim trudem
Przynajmniéj choć dla oka wierzyć z całym ludem?

w Rozdziale XVII. p. s. *Punkt widzenia*, po osądzeniu kilku stanowisk, z których zapatrują się uczeni i materyaliści na życie — powiada o massie ludu:

Ale ja żyłem i z ludem i w ludzie,
O, nie w roskoszy — lecz we łzach i trudzie!
I wiem po ducha drażliwém wysnuciu,
Że szczęście jeszcze w zaraniu — w przeczuciu...
Wiem, że lud więcéj ma poezyi w duszy
Niż przedtém — ona w doli jego świta....

*
* *

Poezya — jest to róża. Śród cierni zakwita —
Rosa łez ją rozwija, słońce szczęścia suszy....
Ale ulewne deszcze — jak słońca posucha
Zrywają piękne listki — i niszczą woń ducha.....

Tak pięknie przejawia się uczuciowa strona de Perthées'a. W powieściach jest on także miły, prosty, a opisy są pełne barw żywych. Wszakże też utwory dowiodły nam, iż pierwszy właściwszy jest mu rodzaj. Do powieści poetycznych, wymagamy dziś czegoś więcéj nad prosty, chociaż dziwnie piękny opis zdarzenia (Nocna wyprawa. — Stefan Czarniecki) P. de Perthées ma sferę inną, a z niéj, jako właściwéj, może brać najpiękniejsze światła i farby do obrazów swoich; że zaś znajdzie w nas współczucie, że natchnione słowa jego nie przejdą niezrozumiane, ale będą pojęte i przeżyją długie wieki w narodzie — chociażby nie pozyskały uwagi estetyków — o tém nie wątpimy, jeśli tylko nie wątpim dotąd, że ten naród, do którego mówi, ma serce.

***

ROZMAITOŚCI.

— W pewném towarzystwie w Paryżu grano lancknechta. Ktoś stawił 5 franków i wygrał 20, za trzecim razem dwa lujdory, za czwartym 4 lujdory, za piątym ośm lujdorów i tak daléj trafił szesnaście razy po sobie. Gra zatrzymała się na 163,840 frankach, grający uważał za rzecz niestósowną przestać daléj ciągnąć karty i schować pieniądze, ale chciał dobrą dać naukę przeciwnikowi za jego uniesienie się w grze karcianéj. Teraz mam 163,840 franków, daléj będę ciągnął, a jeżeli mi szczęście posłuży wygram 327,680 franków. Pod tym atoli warunkiem daléj grać będę, że 10,000 franków odciągnę dla ubogich. Tak się stało, a grający dopóty trzymał zapalonemu przeciwnikowi aż się ten odegrał.

— Koza podniosła sławę baletniczki Cerrito w Berlinie i współubiegała się na scenie z tancerką gracyą swoją. Podobnie i koza przyłożyła się do sławy młodego derwisza w Algierze, który swoją kozę wyuczył rozmaitych sztuk, ktore dzicy Kabylowie uważali za rzecz cudowną. Nazywano więc tego derwisza Bu Mazą, ojcem kozy. Podczas dnia jednego przybył na zgromadzenie Kabylów, oświadczył im, iż jest posłańcem bożym, którego żadna kula nie ima się, i że wypędzi Francuzów z Algieru. Sława jego w krótce rozeszła się pomiędzy góralami arabskiemi, uważali oni go za swego naczelnika, a wydarzenie ukartowane z drugim Arabem ustaliła jego powagę. Wpada razu pewnego do niego ten Arab i mówi: „jeżeli cię tak Bóg ma w swojéj opiece jak powiadasz, to niezginiesz,“ i wymierzył do niego pistolet, ale go zawiódł raz, drugi i trzeci, upuszcza pistolet z przerażeniem, ściele się do nóg jego jako do proroka, który mu wspaniałomyślnie przebacza. Odtąd Bu Maza wsławił się w bojach z Francuzami.

— Wiadomości z Paryża. — Dom opery ma być przeniesiony według jednych na boulevard des Italiens, według drugich nakoniec na Rue Grange Bateliere. Konserwatyści życzą, aby dom opery pozostał w dawném miejscu, gdzie teraz stoi. Postępowi zaś mówią: opera teraz znajduje się w przesileniu, taniec zmienił swoje zasady i długo się nie utrzyma. Nadto, opera w tém miejscu gdzie teraz jest przedstawianą, zbyt bywa niebezpiecznym sąsiadem. Ognie sztuczne, któremi trzy razy w tydzień podsycają biedne tańce, przerażają w pobliżu mieszkajacych obywateli. Od siódméj godziny wieczorem aż do północy opera jest to wulkan miotający nieustannie ognie. Już też się parę razy za-

paliła scena, a jeżeli nie usłuchają doświadczonych znawców, raz zapewne okropny wydarzy się przypadek.

— Z rachunków akademii muzycznéj pokazuje się, że administracya opery we wszystkich czasach do bankructwa przyprowadzała dyrektorów. Tak uwolnił tylko od bankructwa Ludwik XIV. znanego Lulli przez wsparcia bardzo znaczne. Jego zięć i następca Francine, musiał odstąpić swego przywileju wierzycielom w roku 1828. Pod dyrekcyą Destouches podniosły się długi opery na trzykroć sto tysięcy liwrów, a jednak wówczas nie opłacano tak drogich śpiewaków i baletników jak teraz, pierwsi brali rocznie po 1500, drudzy po 1000 liwrów pensyi, a dyrektor muzyki (batteur de mesure) brał tylko 900 liwrów. Artyści z statystami pobierali wówczas w ogóle 67000 liwrów i było ich tylko stu dwudziestu sześciu. Nigdy nie była wyborniéj urządzona opera, niż w latach 1778 i 1779. pod sławnym Devisme, wówczas odznaczali się Vestris, Dauberwal, Guimard i Zofia Arnoult, a mimo to w tych obu latach pokazał się niedobór wynoszący siedmkroć sto tysięcy liwrów.

— Sławna biblioteka królewska w Paryżu już za czasów Karóla V. miała tysiąc manuskryptów. Ustanowioną była w jednéj wieży Luwru, która się zwała La Tour de la Librairie. Ludwik XII. kazał ją ztąd przenieść do Blois. Franciszek I. przeznaczył zamek Fontainebleau do umieszczenia w nim biblioteki, sławny uczony Budé ją tam ułożył. Dopiero pod Henrykiem IV. sprowadzono ją napowrót do College de Clermont. Po powrocie Jezuitów do Francyi przeniesiono bibliotekę do klasztoru Franciszkanów, a przepis Ludwika XIII. z 1617., ażeby z każdego dzieła nowo wydrukowanego składano dwa egzemplarze w tym zbiorze, przyczynił się szczególniéj do wzrostu szybkiego téj biblioteki. Pod Ludwikiem XIV. nie wystarczała już sala w klasztorze franciszkańskim na pomieszczenie biblioteki, dla tego Colbert, chcąc ją uczynić przystępną dla publiczności, kazał w roku 1666. przenieść do hotelu obok swego ministerstwa. W roku 1720 na rozkaz rejenta umieszczono tę bibliotekę w hotelu de Nevers. Kiedy Napoleon połączył tuilerie z luwrem, miał zamiar umieścić bibliotekę w ostatniém miejscu, ale plan nie przyszedł do skutku. Od tego czasu lubo podzielają zdanie, że bibliotekę w inne należy przenieść miejsce, ale o luwrze nikt już nie myśli.

— W Paryżu ostatniemi czasy umarło wiele osób znanych, pomiędzy innemi umarł kapitan angielski Dillon z zgryzoty, że mu rząd francuski nie chciał wypłacić przyrzeczonéj summy za odkrycie śladów podróżnika Laperouse. Mapitan Dillon skłonny do przedsiębierstw, a nadto uwiedziony nagrodą publicznie ofiarowaną ze strony rządu w ilości 400,000 franków, udał się na okręcie, i odkrył podczas mozolnéj swéj podróży ślady nieszczęśliwego Laperousa. Przywiózł oznaki pewne, książki i broń Laperousa do Paryża, które ustawiono w muzeum marynarki i są do widzenia każdéj niedzieli. Rząd francuski tyle był grzeczny, że w muzeum czytamy nad temi przedmiotami wzmiankę, iż je Francya zawdzięcza angielskiemu kapitanowi Dillon. Ministrowie przyjmowali go uprzejmie, ale o zapłacie nikt nie myślał. Dillonowi nawet nie powrócono 32,000 franków, które wyłożył z własnego majątku na tę podróż, a nakoniec umarł z biedy i zgryzoty.

— Niedaleko Moguncyi posiada malarz L. bardzo piękny ogród, w środku którego znajduje się dom wiejski. Przed kilku dniami zaprosił do siebie kilku znajomych, z którymi się aż późno w wieczór zabawił, a po ich oddaleniu się wracał do swego domu. W tém ujrzał trzech zaczajonych ludzi w jednym kącie ogrodu, a rozumiejąc że to złodzieje, szybko pobiegł do domu i na nich nawzajem zaczaił się na schodach. Jak przewidział, tak się téż stało. Trzej ludzie po cichu otworzyli drzwi domu, na palcach zbliżali się ku schodom, gdy w tém nagle raz jeden, drugi i trzeci i dziesiąty wymierzony silném ramieniem i twardym batem, padł na głowy przybyszów. Wrzawa, krzyk, wołanie nic nie pomogły, malarz bił i bardzo bił, aż nareszcie rozeznał głos znajomego sobie burmistrza. Przestał bić, ale zapóźno, rozpoczęły się przepraszania i pokazało się, że burmistrz wziąwszy kilku ludzi ku pomocy, nocną dobą śledził złodziei, w owéj okolicy napadających ustronne posiadłości, a widząc osobę jakąś o szaréj porze chodzącą po ogrodzie, uznał ją za niebezpieczną i szedł za nią ślad w ślad do domu, gdzie ją schwytać zamierzał. — Przypadek spłatał figla.

— Pewien Anglik, który przez długi czas żył w Hiszpanii, a mianowicie w Madrycie, tak opisuje młodą królowę Izabellę: chód Izabelli jest kaczkowaty, co często się wydarza między Burbonami, teraz jeszcze utyła, przeto niemiłe czyni wrażenie kiedy tańczy. Jéj kształt twarzy nie przybrał piękniejszych rysów, a część dolna dziwne ma podobieństwo do portretu jéj ojca. Jéj oczy błyszczą i są przyjemne. Twarz zupełnie ma okrągłą i tylko ją szpeci nos wystający zbyt śmiało. Kiedy w hiszpańskim ubiorze wystąpi lepiéj wygląda niż

w francuskim. Królowa Izabella jest obdarzona zdatnościami, szczególniéj odznacza się pamięcią i odmówić jéj nie można rozumu. Lubi się czwarzyć i żartować z drugich, ma wiele dowcipu uszczypliwego.

— Przed kilku dniami umarł w Paryżu sławny doktor G., który dawniéj świetny dom prowadził, ale w końcu oddał się nałogowi pijaństwa tak dalece, że tylko był lekarzem zbieraczy gałganów. Licznych miał atoli pacjentów i wszyscy gałganiarze mieli do niego wielkie zaufanie, dla tego też, kiedy wiadomość rozeszła się po Paryżu że G. umarł, nie było ani jednego gałganiarza któryby mu nie towarzyszył do grobu. Nad jego zwłokami trzech miało mowy, jeden były notariusz, drugi były adwokat, a trzeci były podprefekt, wszyscy trzej dziś zbierają szmaty na śmieciach paryskich.

MODY.

Paryż, dnia 1. Maja 1847.

Suknie oszywają szerokiemi lub wązkiemi falbanami. Szlafroczki zaś z wyłogami na ukos ciętemi orzucają fałdowanemi wstążkami, które dobierają w kolorze ubioru. Staniki u nich powiększéj części są gładkie i wysoko zachodzące, i tylko kilka szlafroczków widzieliśmy z na pół wysokiemi stanikami, zapinanemi aż do połowy guziczkami. Rękawy są obcisłe i powiększéj części ozdobione na ramionach.

U skromnych sukien z poil de chevre, nankinu lub jednokolorowego fularu, często widzimy staniki z małemi połami. Z przodu te staniki mają otwarte wyłogi z maleńkim kołnierzem z tyłu okrągłym.

U sukien strojniejszych z falbanami są rękawy z przodu powiększéj części otwarte, dochodzą tylko do połowy przedniego ramienia i są albo w kształt podkowy wycięte, lub na prost, z pod których wychodzą rękawy tulowe, orzucone maleńkiemi koronkami.

Staniki na pół otwarte i wycięte w kształt serca podobnie zdobią u otwarcia jak szlafroczki, a chusteczki pod niemi z maleńkim kołnierzem opadającym na wstążkę, powinny być nadzwyczaj suto haftowane i koronkami oszyte.

Parasoliki, których mniéj się pokazuje jak inne lata, są proste i w kształcie małych deszczochronów i bez fręzli. Odznaczają się pięknym trzonkiem i tkaniną haftowaną w jaskrawo-odbijających kolorach.

Ulubionemi tkaninami na suknie są przerabiane jedwabie. Pomiędzy kolorami ciemnemi szczególniéj widzimy pilśniowy lub niebieski, a w jasnych liliowy i zielony. Nad falbanami tych sukien znajduje się tkanka z pewnego rodzaju aksamitu, który środkuje pomiędzy wstążką a pasamonem. Na jednokolorowych kitajkowych sukniach są falbany po największéj części wycinane w zęby. Na ranne ubiory używają damy peleryny kanezu. Bardzo też piękne suknie znachodzą się z licznemi paskami łańcuszkowemi, które pięciu oszywają falbanami nie równéj wielkości, a w zęby wycinanemi.

Koronki nosić będą w tém lecie na wszystkich sukniach przeznaczonych na wyjście. Koronki wyrabiane w machinach tak dalece zostały wydoskonalone, że trudno je rozróżnić od robionych rękoma, i dla tego je nawet damy noszą, które szczególniejszą odznaczają się elegancyą. Prawdziwe atoli koronki nie tracą bynajmniéj na wartości, bo są trwalszemi. Widząc na mantylli naprzykład trzydzieści do czterdzieści łokci koronek, nie pytamy czyli one są prawdziwe lub nieprawdziwe, a tylko kosztują czwartą część robionych ręką.

Jak w każdym tak i w tym roku widzieliśmy na spacerach w Longchamps kapelusze zupełnie czarnemi koronkami zakryte, z tą różnicą, że je krepą podszywają kolorową i opatrują długą barbką z każdéj strony w jasnym kolorze.

Bardzo się też podobają kapelusze z pasków koronkowych i pasków słomkowych na przemian. Kwiaty polne je zdobią. Strojniejsze atoli są kapelusze ze słomy ryżowéj z pięknym bukietem z kwicia granatu lub brylantowéj trawy. Ze wszystkich kapeluszy przecie najbardziéj się podobają montpensierskie, które noszą najmłodsze i szczególniejszą odznaczające się elegancyą damy. Wiele kapeluszy garnirują podwójnie, potrójnie i poczwórnie. Ostatni pasek, który się znajduje na brzegu obwodu, słania się jako półzasłona.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz krepowy zdobny piórem. Szlafroczek jedwabny assementami ozdobiony.
2. Kapelusz krepowy. Suknia jedwabna w lśniących kolorach, sznureczkami oszyta.
3. Surdut bez guzików. Kolorowy krawat. Kamizelka pikowa. Pantalony kaźmierkowe

Redaktor *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*